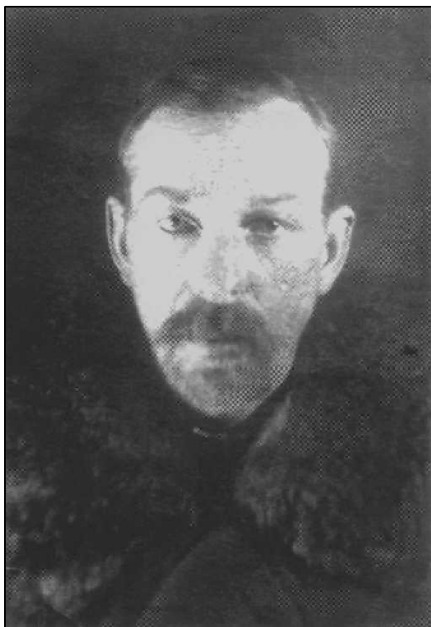


Los mojej rodziny

Nasza rodzina składała się z pięciu osób, troje dzieci: Halina, Tadeusz i Alfreda oraz rodzice Adam i Felicja Winter. Do 10 lutego 1940 roku mieszkaliśmy w kolonii Podryże, gmina Wielick, powiat Kowel, woj. wołyńskie. Ojciec był osadnikiem wojskowym, prowadził gospodarstwo o powierzchni 24 ha. Za zasługi w wojnie bolszewickiej otrzymał order *Virtuti Militari*.



Mój tata – Adam Winter. Rok 1941

10 lutego 1940 r w nocy wtargnęli do domu jeden Rosjanin i czterech Ukraińców, zabrali ojcu

wszystkie dokumenty i oświadczyli: „pieresielałem was w druguju obłast”. Własnymi końmi pod nadzorem jechaliśmy do stacji Maniewicze. Tam czekały na nas bydłące wagony. Podróż do miejsca docelowego tj. na osiedle Leśne Nr 109, Skorodumskoje UŻD, rejon Irbit obłast Świerdłowskaja, trwała cztery tygodnie.

Ojciec i mama pracowali w tajdze przy wyrębie lasu, najstarsza siostra miała lat 16, pracowała przy zbieraniu i paleniu gałęzi. Ja z bratem musiałam chodzić do rosyjskiej szkoły. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach zbudowanych z okrągłych bali uszczelnionych mchem, gdzie miały siedlisko pchły, pluskwy i karaluchy. Podaję nazwiska osadników wywiezionych z nami: Borowiec, Pałasz, Ciejko, Kubiak, Koper, Świгоń, Gajewski i inni. Spędziliśmy tam 20 miesięcy.

Z powodu zimna, chorób i złego odżywiania umierali najpierw ludzie starsi i dzieci. Najczęstsze choroby to dyfteryt, tyfus i wypadki przy pracy jak okaleczenia i odmrożenia.

Jesienią 1941 roku ojciec z siostrą Haliną jako ochotnicy pojechali do Armii Andersa. Mama ze mną, bratem wyruszyła z grupą Polaków do Kazachstanu. Ojciec zmarł



Moja mama Felicja Winter. Rok 1941

w drodze do tej Armii, data zgonu i miejsce nie jest mi znane. Siostra dotarła do polskiej placówki i wyjechała do Iranu. W Kazachstanie, w kolchozie Kombel znaleźliśmy się wczesną wiosną (Dżambulskaja obłast) 1942 roku. Mamę zabierali na cały tydzień gdzieś w step. Kopalni tam rowy nawadniające. Ja z bratem, on lat 13 a ja 11, musieliśmy sami zbierać łajna bydłęcego na opał, zemleć na żarnach garstkę pszenicy. Ta mielona pszenica z wodą – to był nasz posiłek. Zbieraliśmy też lebiodę i zółwie. Tak było do lata, do zbioru bawełny. Przy zbiorze bawełny pracowaliśmy wszyscy. W spiekocie bez wody i już bardzo głodni, bo mama

wszystko co jeszcze było z ubrań wymieniła na pszenicę. Jedliśmy pestki z bawełny, dziki czosnek, które ofiarował nam step.

Z Kombelu jesienią 1942 r. mama z grupą kobiet i dzieci postanowiły wyjechać, bo tu czekała nas jedynie śmierć z głodu. Dotarliśmy do zaułku Kazachskiego Akczułak i tam zamieszkaliśmy w jednej izbie: pani Perłowska z dziećmi i matką, pani Kozłowa z dziećmi, pani Stadnikowa z rodziną i nas troje. Przez ten bezkresny step biegła linia kolejowa. Mamie udało się dostać pracę przy załadunku buraków. Kobiety nosiły nosilkami (dwa drążki i brezent) buraki na wagony. Mordercza praca dla kobiet. Mama tego nie wytrzymała, padała pod tym ciężarem. Zatrudniła się więc jako pastuch do koni, pasła je i pilnowała nocą. W zimie także pracowała przy koniach. W Akczułaku naszym pożywieniem były kradzione buraki, pieczone, smażone, gotowane, kiszzone. Dopadł nas głód. Ja zachorowałam na malarię. Nie było na nią żadnego lekarstwa. Leżałam sama, na barłogu z trawy, słońce piekło z nieba a mną trzęsło z zimna. Wyzdrowiałam, zachorowałam na gruźlicę – wyzdrowiałam, mam tylko zwapnienia na płucach. Wiosną pomagałam mamie, chodziłam w step u podnóża gór Tieńszań. W wąwozach kwitły tulipany. Zbierałam je i sprzedawałam na stacji rannym żołnierzom z pociągów sa-



Posiołek nr 109, rok 1941. Dzieci polskich zesłańców w rosyjskiej szkole. Trzeci od prawej w górnym rzędzie stoi mój brat Tadeusz. W środkowym rzędzie cztery rosyjskie nauczycielki

nitarnych. Był to dla mnie koszmarny widok, ludzie bez rąk, bez nóg, obandażowane mumie. Kupowali te bukiety pięknych kwiatów. Sprzedawałam też czosnek stepowy. W lecie nie było już czego sprzedawać – rośliny powiędły, był już tylko żółty spalony słońcem step.

Byłam zawsze głodna. W 1944 r te same kobiety wyruszyły znowu w nieznaną. Zatrzymaliśmy się we wsi Michajłówka koło Dżambułu. Większość mieszkańców stanowili

Rosjanie. Mama pracowała w sowchozie na plantacji winogron. Ja znowu pomagałam jak mogłam. Chałupniczo robiłam na drutach rękawice dla wojska, takie z dwoma palcami. Było tu dużo Polaków. Powstała polska placówka. Organizowali szkołę z internatem. Mama pracowała jako kucharka. Brata przyjęli do internatu i szkoły w Dżambule. Ja byłam w domu i dalej robiłam na drutach. Mieszkaliśmy u bardzo życzliwej nam Rosjanki, była równie biedna jak my.

Do Polski wróciłam w czerwcu 1946 r. Miałam już 15 lat. Zaczynałam uczyć się mówić poprawnie po polsku. Klasy w szkole „przeskakiwałam”. Jakoś dojrzałam do matu-

ry. Mama umarła w 1971 r. nie do-
czekała się rekompensaty. A ja?
Mam rodzinę, rosną wnuki i jestem
szczęśliwa, że żyję.

Pani Alfreda przesała nam kilka swoich wierszy. Poniżej prezentujemy jeden z nich:

Alfreda Ferschke

Moje choinki

Roziskrzona świeczkami,
ustrojona w aniołki,
pachnąca, zielona.
To ta, z okrucich wspomnień
szczęśliwego dzieciństwa.

Druga z tajgi syberyjskiej,
obca, zimna,
nie Bożonarodzeniowa.
Noworoczna.
Zdobiły ją sputniki i traktory,
a sierp i młot
przytłaczał dziecięce radości.

Trzecia z garści trawy stepowej,
ubrana w łupinki z buraka,
rozjaśniona żarzącymi oczami
istoty ludzkiej zdziwionej,
że jeszcze nie zabił jej głód